

DZIS i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok II

Warszawa, 7 lipca 1946 r.

Nr. 26 (32)

Jan Dobraczyński

DWIE ODPOWIEDZI

Mówimy często: rewolucja. Ale nie zawsze się zastanawiamy nad sensem tego słowa. Co to jest rewolucja? Treść słowa oznacza powrót do jakiegoś początku, do czegoś, co już było. Pospolity natomiast sens, nadawany temu słowu, oznacza rzecz zgoła inną, a mianowicie: obalenie istniejącej rzeczywistości, a zastąpienie jej rzeczywistością nową. Wbrew pospolitemu pogładowi, trzeba jednak powrócić do pierwotnego znaczenia słowa. Okaże się wówczas, że istotnie nie ma nic nowego pod słońcem i każdy przewrót jest tylko przewrotem, że tak powiemy „do pewnej głębokości”. Poniżej tej granicy warstwy historii ludzkiej są nienaruszalne i stałe. Człowiek w swej treści zasadniczej, w swym złem i dobrem jest istotą niezmienną. Można zmieniać warunki życia, a za ich pośrednictwem częściowo zmieniać i człowieka (boć jest rzeczą poza dyskusją, że nędza podobnie jak i bogactwo wykołejają i moralnie człowieka), całkowicie nie zmieni go jednak. Nawet Łaska nie zmienia natury człowieka, a cóż dopiero — ustrój społeczny!

Dlatego rewolucja — każda rewolucja — jeżeli jest to tylko zjawisko, zasługujące na miano rewolucji — dokonuje się jedynie na „pewnej głębokości”. Człowiek po rewolucji pozostaje człowiekiem, jakim był przed rewolucją. Kaliban nie zmieni się w Ariela i cokolwiek by mówił kartezjanizm anielskość nie zastąpi człowieczeństwa. Otóż rewolucja jest zdruzgotaniem istniejących warunków życia, powrotem — lecz nie do stanu przed rewolucją, ale do pierwotnej, niezmiennych warstwy dziejowej. Powrotem do człowieka czystego. I tutaj kończy się rewolucja. Wszystko, co po tem wyrasta, wszystko, co się potem na niezmiennym podglebiu buduje, jest już stabilizacją stosunków, zatrzymaniem biegu rewolucji. Nie ma bowiem rewolucji permanentnej — a raczej istnieje w świecie tylko jedna rewolucja, odradzająca się permanentnie, a mianowicie rewolucja chrystianizmu (w pojęciu najszerszym, a więc obejmującym nie tylko chrystianizm ery pochrystusowej, ale także „chrystianizm” moralności przyrodzonej i „chrystianizm” Starego Testamentu). Tylko chrystianizm stwarza co pewien czas zjawisko zawalania się zmurszałych form życia zewnętrznego i powrotu do człowieka, by znowu narzucić obowiązek budowania nowych form, które przecież, jakkolwiek by były doskonałe, będą z biegiem czasu hamowały rewolucję, przekwitwały i murszały.

Rewolucja chrystianizmu, a raczej wciąż nowa fala tej rewolucji, uderza w ludzkość co parę stuleci. Widzieliśmy, jak w dobie pochrystusowej, w średniowieczu, w dobie kontrreformacji — twierdzimy, że widzimy ją obecnie. Stąd nasze stwierdzenie, że żyjemy w dobie rewolucji. Od połowy mniej więcej ubiegłego stulecia — poruszyły się głębokie warstwy stosunków ludzkich. Proces ten po stu latach postępuje wciąż naprzód i gotowi jesteśmy twierdzić, że jeszcze nie zbliżył się do swego apogeum. Można to nazwać — jeżeli się komu podoba — katastrofizm, ale, zdaniem naszym, dopiero dotarcie do prawdziwego humanizmu, do odkrycia pełnego człowieka (a w każdej rewolucji odkrywano na stopniu poznania właściwym dla danej epoki — i po każdej rewolucji zagubionego) zakończyć może kataklizm. Rewolucja jest bowiem kataklizmem, jako wyzwolenie sił pierwotnych — i biada epoce rewolucji, która by nie potrafiła stworzyć sił, proces rewolucji z kolei hamujących.

Można patrzeć — i trzeba patrzeć — na dokonanie t. zw. „rewolucji materialistycznej” z zaciekawieniem, z uwagą, a nawet z należnym szacunkiem, trzeba je natomiast pojmować w sensie właściwym, jako próby „hamowania rewolucji”, ponieważ w swej istocie są zadaniami konstruktywnymi, a nie destrukcyjnymi. Rewolucja stricto sensu tylko burzy. „Materializm dziejowy” stara się budować. A więc rewolucję „hamuje”, nakłada jej wędzidło.

Zrozumienia rewolucji, jako zjawiska nieomal kosmicznego (Bolesław Piasecki mówi o niej, jako o „fakcie”), potrzebne jest nam katolikom bardzo, aby wyzwolić się od pewnego kompleksu niższości,

NA MARGINESIE

ROZMOWA ŚMIERCI SIKORSKIEGO

4 LIPCA upływa trzecia rocznica tragicznej śmierci Wł. Sikorskiego. Wokół tej śmierci u stóp gibraltarskiej skały wciąż się jeszcze kłębią chmury tajemnicy. Czy kiedykolwiek zostaną rozproszone? To pewne, że w dniu tym Polska straciła człowieka dużej miary i polityka wysokiej klasy.

KATASTROFA FINANSOWA NA WĘGRZECH

NA parę dni przed wprowadzeniem nowej waluty nastąpił na Węgrzech wybuch niebywałej wprost inflacji. Rzecz zastanawiająca: w paującym obecnie systemie monetarnym, wolnym od oparcia o podstawę złota, wydać by się mogło, że inflacja jest zjawiskiem, które się zdarzać nie powinno. Wbrew temu mamy inflację i to o rozmiarach katastrofalnych. Czyżby rząd węgierski chciał się, dopuszczając do inflacji, pozbyć tanim — lecz jakże rujnującym sposobem — ciężarów państwowych?

PALESTYNA W OGNIU

ANGIELSKA polityka divide et impera przynosi Zjednoczonemu Królestwu na środkowym Wschodzie katastrofalne owoce. W Palestynie doszło do zawziętych walk pomiędzy „szokolanymi highlanderami” a bojówkami żydowskimi, przy czym w odpowiedzi na aresztowania i procesy przeciwko działaczom żydowskim oddziały żydowskie porwały kilku oficerów angielskich. Wodzem terrorystów żydowskich jest Menahem Begin, jego zastępcą Irgun Zvai Leumi — za ujęcie każdego z nich przewidziana jest ogromna nagroda. Jednocześnie świat arabski oczynia wrzecz. I w Indiach niedobrze...

NARESZCIE RZĄD WE FRANCJI

WE Francji utworzył się nareszcie rząd koalicyjny, pod przewodnictwem Jerzego Bidault. Największą liczbę tek otrzymał MRP. Socjaliści uzależnili swój udział w rządzie od ratyfikacji umowy pożyczkowej, zawartej przez Blum, od rozpisania nowych wyborów na 15 listopada r. b., opracowania projektu nowej konstytucji oraz podwyżki płac robotniczych.

NATOMIAST W PARYŻU BEZ ZMIAN

KONFERENCJA wielkiej czwórki w Paryżu wciąż stoi na martwym punkcie. W żadnej właściwie z ważniejszych spraw nie uzyskano porozumienia. Zwłaszcza na temat Triestu wciąż panuje zasadnicza odmiennosc poglądów. Wysłany przez Bevina projekt umiędzynarodowienia Triestu nie budzi zachwytu — i słu-

jaki w sobie ostatnio poczęliśmy wychowywać. Uświadomiwszy sobie bowiem, że żyjemy w czasie rewolucji, gotowi już prawie jesteśmy przyznać, że tę rewolucję stworzyła doktryna „materializmu dziejowego”. Niewątpliwie zasługi naukowe Marxa nie są jednak aż tak wielkie. Ani Marx, ani marksizm rewolucji nie wywołał. Marx natomiast — i to odkrycie trzeba mu bezwzględnie przyznać — uświadomił sobie szybciej niż filozofowie katolicy pierwsze poddmuchy dokonującego się procesu. Marx zresztą nie tylko odkrył nadciągający kataklizm, ale także od razu napisał receptę na budowę nowego świata i w sposób zgodny z własnym przekonaniem począł „hamować rewolucję”.

Wydaje nam się jednak, że Marx odkrywając zjawisko rewolucji, nie docenił faktu, że ma przed sobą naprawdę rewolucję. Jego bowiem konstrukcja myślowa nie przewidywała założenia, iż proces burzenia form zmurszałych sięgnąć będzie musiał aż do dna. Będąc bardziej socjologiem niż humanistą, nie liczył się z odkryciem człowieka w całej jego pełni. Sądził, że może przy użyciu współczesnych sobie pojęć o człowieku, podjąć trud budowania, gdy tymczasem proces burzenia nie był jeszcze ukończony.

Stąd paradoksalne zjawisko, iż materializm historyczny jest jednocześnie próbą „hamowania rewolucji” i wyrazem samej rewolucji. Chce budować i służy burzeniu. Przemienia świat, a jednocześnie musi się sam z wielką szybkością przemieniać.

Uwaga zresztą na marginesie. Naturalnie, że proces „hamowania rewolucji” musi się rozpocząć wcześniej, aniżeli osiągnięcie dna rewolucji. Przy zrozumieniu tego, ku czemu zmierza rewolucja, jest to zupełnie wykonalne. Dlatego też katolicyzm od dziesiątków lat pracuje nad wytworzeniem swego wyrazu „hamowania rewolucji”. Sformulowaniem tego stanowiła stały się m. in. zresztą encykliki społeczne „Rerum novarum”, „Quadragesimo Anno” oraz przemówienia Ojca św. Piusa XII w pięćdziesiątą rocznicę bulli Leona XIII.

Istotą tych sformułowań jest nawrót do pierwszych, nienaruszalnych praw i obowiązków człowieka. Encykliki mniej mówią o prawie człowieka do pracy — bo brak pracy jest zjawiskiem koniunkturalnym, a raczej o obowiązku pracy — bo to jest nakaz bezwzględny. Mniej o obowiązku posłuchu, bowiem granicę tego obowiązku określa styl życia i ustrój społeczny — a raczej o prawie do wolności, bo wolność jest nienaruszalnym prawem człowieka. Podkreślają wreszcie najmocniej to, co jest i prawem i obowiązkiem człowieka, a mianowicie: miłość społeczną.

Niestety — to trzeba przyznać — świat katolicki nie był na te encykliki przygotowany. Nie pojął ich dogłębności i zasadniczości. Świat katolicki — ten z 19 stulecia — trzeba to powiedzieć z żalem, był mało naprawdę katolicki. To nie na katolicyzm spadały ciosy — jak się to często mówi — ale to sami katolicy odkrywali przeciwnikom swoje słabości. Wiek 19 był wiekiem herezji, a jeśli te herezje nie przybrały form wyznaniowych, to tym gorzej, bo nie odcięte tkwiły w ciele Kościoła. Taki fideizm np. niesformułowany, a jakże groźny — pętał siły katolików, spychał ich do kapliczek, odrywał od codziennego życia. Katolik stał się symbolem nieżyłości, lub — jeśli poczynął działać — miał uczucie, a nieraz i świadomość, że popełnia najokropniejszy kompromis. Zabrakło katolicyzmowi integralności.

Ta nieintegralność katolików 19 stulecia zadecydowała o tym, że nie katolicy, ale marksiści podjęli pierwsi dzieło „hamowania rewolucji”. Dokonywali go na swój sposób, który katolickiemu pogładowi nie odpowiada i odpowiedzieć nie może. Otrzymali duży handicap — i z niego skorzystali. Stąd powstała sytuacja, że katolicy popędzeni wreszcie do działania przez encykliki, znaleźli się w takim położeniu, że musieli nie tylko walczyć o swój program społeczny, ale jeszcze zwalczać „konkurencję”. To postawiło ich wobec wielu trudności. To ich zmusiło do działania szybko, stanowczo, radykalnie.

Byłoby to znowu „wolne miasto Gdańsk” — oby twór na ziemiach słoweńskich. Nie widzimy powodu, dla którego ziemie te miały by przyspać Italii.

ZNOWU MOŻLIWOŚĆ UZYSKANIA POŻYCZKI AMERYKAŃSKIEJ

W EDŁUG oświadczenia ambasadora USA, Ameryka jest jednak skłonna na przyznanie Polsce obiecanej pożyczki 90 mil. dolarów. Gdy Ameryka obiecuje nam pożyczkę, Anglia zmniejszyła nasze zadłużenia wojenne z 32 mil. funtów na 10 mil. i zawiesiła dług w kwocie 47,5 mil. funtów, powstały z tytułu utrzymania polskich sił zbrojnych.

CHINY JUŻ JĄ DOSTAŁY

RZĄD chiński otrzymał od USA obietnicę dalszego uzbrajania wojsk Kuomintangu aż do listopada 1947 r. w ramach umowy o pożyczce i dzierżawie.

POWRÓT FIGURY CHRYSUSA PANA DO KATOWIC

USUNIĘTA przez Niemców figura Chrystusa Pana z warsztatów parowozowni PKP w Katowicach, wróciła na stare miejsce. Figurę ocalili pracownicy parowozowni, a jeden z nich, R. Adamiec, ukrywał ją w czasie okupacji w swoim mieszkaniu. 30 maja b. r. figura została na nowo postawiona. W uroczystości wziął udział liczny tłum pracowników PKP.

PRODUKCJA PAPIERU W POLSCE

W EDŁUG „Wiadomości Statystycznych” (Nr 3) krajowa produkcja papieru osiągnęła w styczniu b. r. cyfrę 3367 ton (średnia produkcja miesięczna przed wojną w Polsce — 7051 ton). Niestety — cecha szkolnego zeszytu wciąż wycisła zawrotną — z punktu widzenia ojca — kwotę! I a propos zeszytu: dlaczego zeszyt kosztuje w Warszawie 10 zł., a w Oszynie 13.60?

DYSPROPORCJE MEDYCZNE

W TYM samym zeszycie „Wiadomości Statystycznych” znajdujemy dane, dotyczące ilości lekarzy w Polsce. Przed wojną było ich — bardzo mało! — a mianowicie: 12.917 i 3.686 dentyistów. Dziś mamy 6.220 lekarzy i 1.507 dentyistów. Niestety, znowu olbrzymia większość ordynuje w Warszawie (lekarzy 718, dentyistów 227). A tymczasem na Śląsku Dolnym znajduje się 130 lekarzy i 15 dentyistów, na Pomorzu Zachodnim 90 lekarzy i 9 dentyistów, na Mazurach 42 lekarzy i 6 dentyistów. Wypada więc w Warszawie jeden lekarz na 660 mieszkańców, na Pomorzu Zach. — na 6.600 mieszkańców, na Mazurach — na 8.000 mieszkańców, na Śląsku Dolnym — na 14.600 mieszkańców!

Termin: radykalnie, mało odpowiada taktyce działania katolicyzmu, opartej na cierpliwości i przetrzanej rozważce. To też nie chodzi tutaj o radykalizm posunięć społecznych, ale o radykalizm ustawięń moralnych. Najbardziej bowiem pilna reforma mniej jest paląca niż sformułowanie zasady moralnej, na jakiej może i musi być zbudowana.

Chciałbym tym małym wywodem odpowiedzieć na dwa wystąpienia, skierowane w stronę naszego pisma. Jedno — to felieton Kisielskiego w Nr 24 „Tygodnika Warszawskiego“, żądający od nas konkretnego sformułowania naszego programu. Drugie: broszurka ks. H. Weryńskiego*), stawiająca bardzo zasadniczo sprawę katolickiego radykalizmu i żądająca, abyśmy się w stosunku do tego Autora wypowiedzieli.

Jeżeli chodzi o Kisielskiego, to odpowiedź będzie krótka: tok naszego rozumowania jest jak wyżej. Formułowanie programu (a raczej programów, bo przecież nie tworzymy partii i każdy z nas w sformułowaniach ostatecznych może się od drugiego różnić), będzie następowało w miarę podchodzenia tematów pod pióro. Uważamy to jednak za drugie z kolei z naszych zadań. Pierwszym bowiem jest stworzenie atmosfery i odpowiedniego ideowego „napięcia“, bez których to czynników trudno jest marzyć o pracy konstruktywnej.

Broszurka ks. Weryńskiego jest broszurką napisaną z talentem, żywym i porównawczym stylem. Jej Autor ma wiele zasług na polu twórczości katolickiej i zdrową ambicję wytykania nowych dróg. Lękamy się jednak, że w cytowanej broszurce zanadto uiegił temu właśnie przekonaniu, iż nie ma rewolucji bez „rewolucji materialistycznej“, to też zadaniem katolików jest nie co innego, a dążenie, by się nie dać prześcignąć „naszej oficjalnej lewicy w realizacji reform społecznych“. Zawsze twierdziłmy, że katolicy nie mogą dać się w pracy społecznej zdystansować przez niekatolików.

Mówiliśmy niejednokrotnie, że przemiany społeczne, jakie się dziś dokonują w Polsce, nie mogą nas widzieć obojętnymi, oddalającymi się od pracy. Nie. Katolik — afirmacja, czy protestem — musi ustosunkować się do rzeczywistości. Ale katolik musi to zrobić ze świadomością, że nie został do takiej postawy przymuszony przez innych, że nie dlatego działa, bo inni stworzyli novum, więc i on nie może być za tamtymi w tyle, ale musi ich gonić, choćby miał poczucie, że jego „program społeczny nie wiele się różni od programu głoszonych przez socjalistów“, winien natomiast to zrobić w poczuciu, że ma własne dane „hamowania rewolucji“ i że program, głoszony przez socjalistów, może się pokrywać w pewnych partiach z programem katolickim, ale nigdy odwrotnie.

Nie może być więc mowy o przesuwaniu się na lewy tor.

Zgoda, że katolicyzm działając „w głąb“, musi również — jak powiada ks. Weryński — działać „w szerz“. Dlatego właśnie stoimy na stanowisku nie uciekania od tego, co się dzieje w Polsce, ale staramy się wobec rzeczywistości rewolucyjnej, którą pojmujemy tak, jak to wyżej powiedziano — znaleźć własną postawę i własny osąd. Jednym może się zdawać, że popieramy wszystko, innym, że nie popieramy nic a tylko „gramy“ — na to nie ma rady. Prawdą jest, że chcemy uznać to wszystko, co się znajduje na linii naszego własnego poglądu na rzeczywistość, który to pogląd pragnęlibyśmy aby był katolicki.

Być może w tym widzi ks. Weryński podobieństwo między nami a francuskim MRP. My jednak tego podobieństwa nie widzimy. Bądźmy szczerzy — MRP w w małym tylko stopniu jest partią katolicką. Katolicyzm robi we Francji duże postępy (jeszcze większe w Holandii, Belgii, Anglii) ale sił jego nie można jeszcze mierzyć wynikiem ostatnich wyborów. Nie doceniamy chyba procesu dechrystianizacji świata, jeżeli sądzimy, że przemiana może nastąpić tak szybko i to na terenie, który mniej niż inny stanął w obliczu „kataklizmu rewolucji“. Dlatego też obawiamy się, że we Francji katolicyzm może uaktywnić się wcześniej w

*) Ks. H. Weryński „Katolicy Radykalni“ Państw. Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1946, str. 39.

dziedzinie politycznej, niż społecznej. — naszych dążeń społecznych. Polityka Było by to zjawiskiem bardzo niebezpiecznym. Wbrew więc twierdzeniu ks. Weryńskiego, który mówi, że „katolicy nie mogą zaniedbać dziedziny politycznej“ uważamy, iż na tę dziedzinę jest póty czas, póki nie zdołamy sprecyzować konkretnie — i w pewnym całokształcie

Jan Dobraczyński

Dalszy ciąg studium J. Dobraczyńskiego o Nowaczyńskim p. t. „Najgorętszy człowiek tamtego pokolenia“, ukaże się w nast. numerze.

Maciej J. Kononowicz

W kręgu Jeleniej Góry

1. Jezioro — libella srebrna
Strzeliste drzewa — pion:
W układ współrzędnych wbiegła
Górzysta baśń — Dolny Śląk.

WSCHÓD

Ze skały, w pięść zwiniejętą,
Smukłe świerki w niebo wyrosły pod kątem —
W widłach procy horyzont struną napięty
Wyrzuca kamień ognisty: słońce.

ZACHÓD

Pnie się złoto i zielen po wysokiej turni —
Zachód słońca zamazał kolorami przestrzeń.
Spójrz na tarczę zegara odbitą w historii:
Idźmy razem za słońcem — teraz Drang nach Westen!

STRUMIEN

Rzuć gałąź — popłynię, z nią oczy popłyną,
Aż będą niczyje — aż krzykną dolina —
Pod prąd — nie dasz rady; i skałom za ciężko:
Głaz — kamień — kamyki — żwir — piasek — muł —
kłęska...

GRANICA POLSKO-CZESKA

Punkt, powielony w smugę akustyczną echem:
To strzał — wysmiewany przez góry —
Na prawo Polska — w lewo Czechy.
(Przemysłnik srebrny wlaź w chmury).

SZKLARSKA PORĘBA

Trochę obca stacyjna w górach się kolebie —
(Nie, nie trzeba paszportu — jesteśmy u siebie...)
Trochę obcy kościółek — i obce kazanie —
(Ojczyźnie wolnej pobłogosław, Panie...).

Jerzy Ficowski

MODLITWA

Zdmuchnij cień z piersi swoich, młodych jak zapach
konwalii.
Odejmij ustom mym gorycz i dodaj światła mym pieśniom.
Niech świat zobaczą inaczej, nie ogniem, co serca spalił,
lecz ciszą błękitną twych oczu i słodkim pąsem czeresni.

Oddaj mi dni niczyje i noce zabierz mi wilcze;
niech smutki jak ómy odleją do kwiatów kwitnących na
grobie.
Jeśli nie wrócę do słońca i ciebie nie umieszczę w sobie —
daj miłceć.

Święto nawiedzenia

III. DAR DUCHA ŚW. — RADA

Matka Boska, która świętością nieskończenie przewyższała świętość innych ludzi, była też od początku swego życia najbardziej poddana działaniu Ducha Świętego. W szczególny sposób zjednoczyła się z Nim w chwili Zwiastowania, kiedy powiedziała: „niech mi się stanie według słowa Twojego“, wyraziła zgodę woli na wzięcie udziału w dziele Odkupienia. Duch Święty sprawił w Niej to, że poczęła w żywocie swoim Chrystusa.

Wszystko, co Matka Boska czyniła, mówiła i myślała, było dokonane nie tylko Jej ludzkimi siłami, ale pod wpływem zamieszkującego w Niej Ducha Świętego, którego dary w pełni posiadała.

Co uczyniła Maryja po owej rozmowie z Aniołem, który objawił jej udział, jaki wzięć miała w tajemnicy Wcielenia? Oto słowa Ewangelisty Łukasza:

„A powstawszy Maryja w onych dniach, poszła z pośpiechem na góry, do miasta Judzkiego. I weszła w dom Zacharjasza i pozdrowiła Elżbietę.“

Darem Ducha Świętego, który w poszczególnych wypadkach oświeca nasz rozum praktyczny i pobudza go do dobrych czynów, jest dar rady.

Tym darem oświecona i przepelniona miłością, Maryja biegnie do Elżbiety, żeby być przy niej, „gdyż miesiąc szósty był onej“ i potrzebowała pomocy.

„Skoro usłyszała Elżbieta pozdrowienie Maryi skoczyła w żywocie jej dzieciątko i napełnione zostało Duchem Świętym“. Duch Święty będąc tak silnie obecny w Najśw. Pannie, w chwili wypowiedzenia przez Nią pozdrowienia, udziela się Elżbiecie i Janowi, którego Elżbieta wkrótce urodzi.

Trudno o większą i ściślejszą łączność, niż ta, jaka istnieje między darami Ducha Św. a miłością. Wzajemnie się one wzmacniają i są nierozdzielne.

Dar rady porusza naszą miłość. Każe nam czynić dobrze, z miłości do Boga i bliźnich.

Niech nam będzie przykładem Maryja, służąca Elżbiecie, Maryja w Kanie Galilejskiej prosząca Syna o cud dla weselników, Matka Boska Bolesna, stojąca pod krzyżem i biorąca ludzkość w opiekę, Najświętsza Panna Radosna, śpiewająca w zachwycie nad wielkością dzieł Bożych: „Magnificat anima mea Dominum“.

Dlatego chcąc rozwijać w sobie dar rady, musimy rosnąć w miłości do Boga i do ludzi. Trzeba raz wzięć poważnie słowa Chrystusa: „Po tym poznają, żeście uczniami moimi, jeśli miłość mieć będziecie jeden ku drugiemu“.

NOTATKI...

TAKŻE MIERNIK PATRIOTYZMU...

CEGIELKI WAWELSKIE“, wymyślone kiedyś przez kierownika odnowienia Wawelu, prof. Szyszkę - Bohusza, stały się — swego czasu — nie tylko dościgniętym źródłem przysporzenia funduszy na wielkie dzieło restauracji zamku królewskiego, ale i miernikiem patriotyzmu poszczególnych klas społecznych.

Zebrano tymi „cegielkami“ na Wawel poważną sumę.

Otóż — rzecz charakterystyczna — na gros tej sumy złożyły się ofiary warstwy w Polsce najuboższej, t. j. inteligencji pracującej umysłowo. Ludzie niedojadający, a racujący głową, tacy, jakich w dawnej Polsce za czasów świetności Wawelu jeszcze nie był, objawili najwięcej zapału i ofiarności dla sprawy odnowienia budowli uosabiającej wielkość narodu.

Niewiele natomiast przyczynili się do odbudowy zamku wawelskiego ci, którzy w antykamerach tego zamku obławiali się kiedyś najwspanialszymi fortunami — nasza polska arystokracja rodowa..

Polskie St. Germain okazało tyleż zainteresowania sprawą Wawelu, co... Chiny!
S. J.

PÓLKA ZAWSZE WIERNA

Poprzez stokrotne niebezpieczeństwa, poprzez ból i ciągły niepokój o najbliższych, tak często sponiewierana, ale nieugięta w woli zwycięstwa, nieugięta w swych przekonaniach, przetrwała kobieta Polka, choć w bardzo przereklamowanych szeregach, lata wojenne. A jak głęboko pojmowała istotę swego cierpienia, świadczą może „Droga Krzyżowa“, powstała i odmawiana na Pawiaku; jak bardzo wierną była Kościołowi, zadokumentował zwrot warszawianek do Ojca Świętego w najcięższych dniach powstania, wyrażający głęboką miłość dla ziemskiego zastępcy i gotowość stanięcia na każdy Jego zew.

Gdy Polska obecnie wkracza w nowy etap dziejowy, ciągle czujna kobieta Warszawy staje znowu gotowa do dalszych wysiłków, do dalszej walki. Bo choć ucichły działa i krew się nie leje na polach bitew, a miasta w gruzy nie wałają — walka wciąż trwa. Trwa walka w większym nasileniu, niż kiedykolwiek w dziejach miało to miejsce, bo zbliża się chwila ostatecznego triumfu dobra nad złem i moce piekielne wyteżyły wszystkie swe siły szatańskie, by odwlec swą klęskę ostateczną.

Kobieta Warszawy wzywa więc wszystkie Polki i te tu w Kraju i te rozproszone po całym świecie, by razem z nią stanęły do nowych zapasów o Królestwo Boże na ziemi.

Korzystając z przybycia do stolicy Prymasa Polski, kobiety Warszawy gromadzą się dnia 23 czerwca w kościele Matki Boskiej Zwycięskiej, aby powitać Arcypasterza i wyrazić swą wierność Kościołowi, gotowość do każdej pracy.

Nie był to przypadek, że uroczystość miała miejsce właśnie w kościele Matki Boskiej Zwycięskiej. Jak Maryja zwyciężyła, idąc w bólu swym wiernie za Chrystusem na Golgotę, by razem z Nim zwyciężać w niebie, tak i Polka ufa, że osiągnie pełne zwycięstwo, dźwigając ciężki, przeoblrzymi krzyż, nałożony jej przez Chrystusa.

Do Boga, do zwycięstwa Polka musi doprowadzić cały swój naród, poczynając od tych stojących na świecznikach, aż po zupełnych prostaczków. Doprowadzić może poprzez krucjatę modlitw i komunii świętej. Rozpoczynając więc tę krucjatę, kobieta Warszawy składa dar swemu Arcypasterzowi w postaci mszy świętych we wszystkich kościołach parafialnych w pierwsze niedziele miesiąca przez rok cały na uproszenie wierności narodu polskiego dla Stolicy Apostolskiej.

Prymas odnajdzie wśród kobiet Warszawy swe Marie i Weroniki, wiernie kroczące z nim razem, gotowe do wszelkich posług. Odnajdzie też niewiasty nauki, kultury i sztuki, które w dojrzałym rozumieniu, że praca ich nie jest celem sama w sobie, talenty swe oddają na służbę Bożą.

Izabella Lutostawska-Wolikowska

Zasady demokratyczne organizacji spółdzielczej

Kto pracując z całych sił, przez 5 lat w Społem podczas okupacji niemieckiej, pokochał jak ja, ideały spółdzielcze, realizowane konsekwentnie i sprężysto w tym potężnym zespole ludzi dobrej woli — ten, zaskoczony jest szeregiem notatek i sensacyjno-kryminalnych tytułów w całej prasie codziennej, dotyczących spółdzielczości lub wypadków nadużyć ujawnionych na jej terenie. Tytuły wzmianek, będące odbiciem nastrojów i faktów z terenu — muszą wzburzyć tysiące spółdzielców, którzy cały wysiłek życia poświęcili organizacji i wychowaniu odpowiedzialnych obywateli, mających pieczę nad wspólnym dobrem.

Nie trzeba do zagadnienia, któremu poświęcony będzie ten cykl artykułów mięszać sprawy nadużyć, z których ostatnie w Częstochowie, opatrzone przez sprawozdawców ogromnymi nagłówkami, szczególnie boleśnie nas dotknęło. Nadużycia bywają wszędzie, Społem szczyliło się latami całymi słuszną kadra ludzi więcej niż uczciwych. Pałace zadania ostatniego roku gospodarcze i organizacyjne pochłonęły siły i rozporządzały material ludzki nie pozwalając na dostateczne szkolenie ideowe. Szczepienie ideału społecznego, którego reformatorstwo pociąga zawsze wzwyż, nie dopuszcza zepchnięcia w dół i — wstecz, jest szczepieniem ochronnym niezastąpionym. Trzeba do niego jak najprędzej wrócić.

Ale jest coś daleko ważniejszego i groźniejszego w profuzji notatek prasy na temat spółdzielczości. To trzeba wyjaśnić. Kto kieruje sumą tych wieści dziwnie jednolitych w wywracaniu nagle jak domkiem z kart — zasadą spółdzielczości w ogóle a nawskroś precyzyjną zasadą Społem, w szczególności.

! Czytamy prawie w ciągu jednego dnia w pismach:

„Ministerstwo Obrony Narodowej wydało zlecenie, by każdy pułk lub batalion... posiadał spółdzielnię. „Handwojsk“ przekształcono na centralę zaopatrzenia spółdzielni wojskowych. Instytucja ta pozostaje własnością państwa, jest pomysłana jako nadbudowa gospodarcza spółdzielni wojskowych“.

Spółdzielcom robi się wprost słabo od tej „ładkiej“ notatki dziennikarskiej, najeżonej sprzecznościami zasadniczymi w każdym zdaniu.

Albo: „W związku z okólnikiem Ministerstwa Oświaty w sprawie spółdzielni uczniowskich... ministerstwo zaleca na terenie wszystkich szkół zorganizowanie spółdzielni uczniowskich...“.

Lub: „...Zamierzona likwidacja Centralnej Kasy Spółek rolniczych w celu przejścia tej agend, majątku i zobowiązań przez B. G. Spółdzielczość“.

Takim i tym podobnych wiadomości z terenu polityki spółdzielczej, jest mnóstwo. Zamierzenia te, zmiany mogą być planowe, nawet wybitne. Zupełnie tego nie kwestionuję.

Poświadczyć to mogą rzesze działaczy od 40 lat w Polsce reprezentujący ideały rochdzelskie. To trzeba sobie wyraźnie powiedzieć, bo nie ma powodu i szans powodzenia rozbicie w dwóch spraw zupełnie sprzecznych nagle, jakoby jedną i to nad sprawę („nadbudowa“).

Na to, by zrozumieć, gdzie się kończy wola gromady, wolna wola reformatorów, a gdzie zaczyna władza państwa, które ma prawo rozkazywać i na to, by

odróżnić czego się chce i dokąd się idzie, trzeba koniecznie poznać zasady organizacji spółdzielczej.

Nie mam, po powstaniu, ani jednej broszury, ani jednego arkusza z prac gromadzonych w bibliotece poświęconej działalności Społem. Spalił się też mój rękopis, 900 stron, gotów do druku, praca zamówiona przez prezesa M. Rapackiego pod tytułem „Społem podczas okupacji“. Praca ta nie mająca nic wspólnego z tym zawodem literackim, była dla mnie największym wysiłkiem w życiu — złożonym w hołdzie ideałom społecznym.

Straciwszy wszystkie dokumenty, pisać mogę tylko z pamięci. Jest to zawód nie i dlatego nie zdołam wiązać łańcucha faktów imponujących, dotyczących i cnót obywatelskich, których opisy gromadziłam. Mogę natomiast łatwo iść za biegiem logicznego rozumowania, jakie oślniło mnie we wczesnej młodości, gdy się zetknęła z Mielczarskim i Wojciechowskim, twórcami naszego Społem. Więc przede wszystkim podkreślić należy z największym naciskiem cechę zasadniczą ideału spółdzielczego: **dobrowolność**, pamiętajmy, że prawo własności jest podstawą wolności osobistej. Spółdzielca, mając na widoku poprawę bytu gromady niejako mnoży tę własność **bez zachwiania poczucia wolności osobistej**, bo czyni to z wolnej woli, bez nakazu, bez przymusu, bez przemocy. Szczególnie jaskrawo uwydatnia się to jako mnożenie swego dobra właśnie w Społem, bo będąc stowarzyszeniem spółdzielczym czyni, głównie z chłopów na terenie wsi, klasycznych producentów i zarazem konsumentów w jednej osobie.

W dobrowolności tkwi sedno dynamiki gromadzkiej i czyste źródło natchnień, ambicji i ofiar. Dlatego, że tak jest, mógł rozwijać się ten silny ruch społeczny.

Poświęćmy parę chwil bacznej uwagi zasadom, przy których osiągnięto ogromne rezultaty wychowawcze, przewyższające znacznie korzyści ekonomiczne. — bezsporne.

Pozornie nie ma wielkiej różnicy pomiędzy handlem prywatnym a spółdzielczym. I lubią to złośliwie powtarzać ci, którym obce są zasady rochdzelskie. Stowarzyszenie spożywcze nie wiele się na oko różni od sklepu prywatnego, stowarzyszenie kredytowe — od banku. Najbardziej stosunkowo uderza różnica między stowarzyszeniem wytwórczym a fabryką prywatną. I nie raz bywają stowarzyszenia, które choć noszą miano spółdzielczych, nie są w gruncie rzeczy niczym innym tak ordynarnymi handlowkami drobną różnicą formalną. Czasem się też przytrafia — szczególnie teraz, że przedsiębiorczy handlowiec wyyskuje dobrą koniunkturę (przy poparciu spółdzielczości przez państwo) i dobrą wolę szerszego grona po to, aby samemu na nich zrobić interes.

Jest to szczególnie dotkliwa i bijąca w oczy forma dyskredytowania spółdzielczości w opinii publicznej.

Spółdzielczą instytucją jest wyłącznie taka, która z jednej strony istnieje tylko dla dobra publicznego, w której czynnie zainteresowany jest ogół członków, w której pracach ten ogół bierze świadomy udział, a która z drugiej strony tak jest zorganizowana, żeby powoli przekształcić zakorzenione błędne, niesprawiedliwe urzędzenia we współczesnym ustroju ekonomicznym. Żeby wytworzyć sprawiedliwy podział dochodów, płynących z pracy ekonomicznej, wykluczyć wysokie zyski z pasorzytnictwem etc.

Żeby więc instytucja miała prawo nosić miano spółdzielczej potrzeba przede wszystkim, aby organizacja jej opierała się na zasadach demokratycznych. A powtóre, aby jej działalność ekonomiczna miała na widoku pewne ideały społeczne, których urzeczywistnienie ma charakter reformy ustroju ekonomicznego.

Demokratyzm występuje w imieniu praw człowieka przeciwko przywilejom. Walczyć więc też musi z przywilejami kapitału. W organizacji zasada ta wyra-

za się w niezależności praw członków od wysokości udziałów pieniężnych, jakie w niej posiadają.

Decyduje tu prawo człowieka, jego poziomu, wartość, odpowiedzialność, opinia gromady o nim a nie — prawo kapitału. Tym instytucje spółdzielcze zasadniczo różnią się od kapitalistycznych.

W towarzystwie akcyjnym, członek ko- rzysta z praw jako właściciel kapitału, a więc, ma tym większe prawa im więcej włożył kapitału. Na zebraniach ogólnych głosują akcjonariusze jako przedstawiciele akcji, to jest pewnej ilości kapitału. Kto ma więcej akcji — ma więcej głosów. W spółdzielni każdy członek ma jeden głos niezależnie od tego, ile udziałów posiada. Tak samo prawo rewizji ksiąg rachunkowych, kontroli ma tu pewna ilość członków niezależnie od tego, czy posiada dużo czy mało kapitału.

Przeprowadzenie tej zasady przede wszystkim zapewnia wpływ większości członków na bieg spraw instytucji. Tam, gdzie rządzi kapitał, zdobyć może przemóżny wpływ na instytucję jeden człowiek lub garść ludzi. Tu, na straży interesu publicznego stoi czujny szeroki ogół.

Następnie tam, kierunek spraw z przyrodzenia należy do człowieka bogatego, który zaangażował więcej kapitału. W stowarzyszeniu spółdzielczym o stanowiska kierownicze ubiegać się może każdy i zdobędzie je najprawdopodobniej ten, kto będzie najzdolniejszy, skoro nikt nie jest uprzywilejowanym, każdy ma równe szanse.

W następnych rozdziałach pomówimy o innych sprawach konsekwentnie wynikających z przytoczonej zasady spółdzielczej.

Na zakończenie tego pierwszego omówienia, które jest z natury rzeczy ciężkie, oschłe, bo dotyczy spraw nie błyskotliwych choć dla nas spółdzielców w każdym szczególe ważnych i drogiech, chcę nareszcie poruszyć czytelnika pewnym osobistym wspomnieniem.

Był świetlisty i pełen słońca kwiecień 1944 r. W wielkiej sali Społem na Graży 13 obchodziliśmy doroczne święto Wielkanocy. Ja, w te uroczystości, lubiałam stojąc w tłumie pracowników, przyglądać się naszym kierownikom, słuchając bacznie ich przemówień, które wygłaszali z podium. Twarze to są paszporty — mówią tak wiele! Zwiąże rysy i finezyjny uśmiech prezesa Rapackiego, szlachetnie sklepione czoło Dyr. Dippa, ruch jego ręki pełen delikatności — zawsze na chwilę przykuwały mój wzrok. Nagle, prezes Rapacki wyszukał mnie przed rozpoczęciem programu i zaprosił na podium, wskazując miejsce obok siebie i Dyr. Jasińskiego. Uczynił to pierwszy raz od 5 lat. Mnie zaś, na ten odruch kurtuazji, błyskawicznie przeszło przez myśl:

— „Pierwszy i — ostatni raz...“.

Dni rosły, światło migotało jaskrawo na tej ładnej sali. Ja widziałam przed sobą ciemność i zagładę. „Co to — mówiliam sobie — widzę tylko śmierć“.

Dwóch kochanych spółowskich wielokudów miałam teraz na oczach w wypełnionej sali. Popularny „ojciec“ Dominko o twarzy zakonnika z Zakonu św. Franciszka pełnego też, zaiste, franciszkańskiej słodyczy natury i Namiecińskiego, z którym łączyła mnie szczególna przyjaźń.

Właśnie Marjusz Maszyński mówił nam swym mądrym, wszystko pojmującym głosem „Wschód słońca“ z Pana Tadeusza. Przepyszny to był artysta. Wscho- działo słońce na sali wraz z każdym słowem i te słowa nie były same, działo się odrazu coś więcej od słów...
Maszyński, nawskroś polski, nawskroś warszawski, przedstawiciel wielkiej kultury.

A ja pomimo zachwyty nad miarą tego poety z najprawdziwszego zdarzenia — powtarzałam sobie z ostrym uciskiem serca: „stał raz“.

I ten nasz najmilszy Maszyński został zamordowany wśród tortur nieludzkich podczas powstania przez ukraińców. W trzy miesiące niecałe po tym „Wschodzie słońca“, w który wierzył On i my wszyscy z Nim na sali...
Tak samo w męczarniach zginął Na-

Nieznani poeci XX wieku

Wezwanie

Chodźcie synowie moi, chodźcie wszyscy,
z chaty—

Błogosławieństwem Pańskim rozkwitły
dziś niwy...

Ziemia się przycodziła w dar pionu bogaty,
Niechaj nikt w żmudnej pracy nie będzie
leniwy.

Chodź i ty, mój najmłodszy synu
ukochany,

Pilniem strzegł twojej myśli, serca
i sumienia...

Błogosławieństwem Pańskim dziś
rozkwitły łąny,

Dzień marzeń nieuchwytnych w dzień
czynów się zmienia.

Chodź i ty, o przedwczesnie osleplęj
żrenicy,

Nad którego kolebką już stała niedola —
Błogosławieństwem Pańskim dziś

rozkwitły pola,
Spełnia się czas odwiecznej kwitnienia

Tajemnicy.

Chodźcie, synowie moi, chodźcie wszyscy
z chaty —

Zyzy przyniósł urodzaj nasz siew
sprawiedliwy...

Chodźcie kosić kłosa zrały i stworzone
kwiaty:

Błogosławieństwem Pańskim dziś
rozkwitły niwy.

Bohdan Breszel

Autor zupełnie nieznany i nie notowany w historiach literatury. Poeta autentyczny, dojrzały w wyrazie, talent nieprzeciętny. O losach jego życia nic nie wiadomo. Ogłaszał nieliczne wiersze w czasopiśmie w dobie Młodej Polski, w początkach bież. wieku. Zbioru żadnego nie wydał. Godzien odszukania i przypomnienia. Zwrócił nam na niego uwagę Adam Szczerbowski. Antologia K. Królińskiego, 1908, zawiera dwa jego utwory (z niej pochodzi wyżej zamieszczony). Kto odsłoni jego tajemnicę? (p. g.).

mieciński, na którego oczach zamordowali ukraińcy żonę i dzieci.

Prezes M. Rapacki znalazł śmierć straszną w walącym się od bomby domu. Nie wiemy czy padł nagle, czy męka była długa. Wiemy, że był podczas powstania nieustraszonej jak żołnierz, narażał się nieustannie na śmierć, zabiegając od pierwszej chwili o organizację pomocy w warunkach rozpaczliwych.

Tak samo Dyrektor Dippel, cały skupiony na doraźnych zadaniach ratowania ludzi. Truchleć musiał o los jednego dziecka, które pełniło służbę sanitariuszki patrolowej wśród bojów ulicznych. Ale nikt nie usłyszał od niego słowa skargi. Gdy go przeszono, by zmienić mieszkanie, groźnie atakowane przez Niemców, nie chciał słuchać o tym, pracował z pogardą śmierci.

A gdy przyszła straszliwa godzina w ostatnią niedzielę powstania i zabił Go druzgoczący cios od bomby, to ręka, którą oparł o ramę okna, może szukając ratunku, została — nietknięta.

Biyszczała na niej obrączka, znak trwałości uczuć.

Coś z wierności wyznawanym ideałom przekazywał ruchem ręki przedziwnie niezmienną w godzinę nagłego zgonu, Stanisław Dippel.

Tradycyjna to postawa po śmierci — ludzi kochających Ideały.

Izabella Lutostawska-Wolikowska

Już w najbliższych
dniach ukaza się
W I E R S Z E

K. J. Galczyńskiego

Wyd. Oficyna Księgarska
Warszawa, Marszałkowska 34

OFICyna KSIĘGARSKA
zapowiada

„NAJEŹDŹCÓW“

J. Dobraczyńskiego

W kraju...**POLSKA NORYMBERGA**

GREISER jest winien. Nie ma sądu, który by mógł wydać wyrok uniewinniający. A gdyby nawet taki sąd się znalazł, nie było by Polaka, który by we własnym najgłębszym przekonaniu i zgodnie z własnym sumieniem nie wydał wyroku potępiającego.

Dziwi nas wszystkich a nawet niepokoi długotrwałość procesu w Norymberdze. Na tym samym miejscu tydzień temu pisaliśmy, że proces Greisera w Poznaniu powinien być przykładowo krótkotrwały. Stwierdzamy, że omyliliśmy się sądząc, iż szybkie przebrnięcie przez procedurę sądową może być jakimś osiągnięciem. Omyliliśmy się, bo Norymberga była dotąd zbyt odległa. Z chwilą gdy przybliżyła się, gdy w Poznaniu możemy obserwować sposób myślenia zbrodniarzy hitlerowskich wiemy, że

NIE WYSTARCZY SKAZAĆ I NIE WYSTARCZY POWIESIĆ, ALE TRZEBA UDOWODNIĆ WINĘ.

Trudności procesu norymberskiego, procesu w Poznaniu i tych następnych w Krakowie i Warszawie polegają przede wszystkim na odkłamaniu zbrodniarzy. Paragrafy kodeksu karnego, tak jasne i niedwuznaczne dla zwykłych przestępców — stają się jednym z elementów obrony dla zbrodniarzy typu Greisera, którzy powołują się na brak odnośnych paragrafów prawa międzynarodowego. Prawo międzynarodowe gwałcili sami, popełniali setki tysięcy zbrodni — ale jakby w imię prawa nadrzędnego, którym dla każdego z nich był swoiście pojęty i swoiście usprawiedliwiony kult własnej rasy i własnego narodu.

Stąd zakłamanie tak straszne, że typowa Niemiecka buła nie opuszcza zbrodniarzy na sali sądowej, że nawet widok szubienicy nie pozwala im zapomnieć o jakiejś, znów swoiście pojętej, misji służenia swemu narodowi.

Odkłamać zbrodniarzy — oto cel. Przekonać ich o winie, ugiąć karki, rzucić na kolana, wywołać jęk strachu — oto najtrudniejsze zadanie procesów tego typu.

Nie dziwimy się więc, że zbrodniarzom norymberskim wyswietlano na sali sądowej filmy, ilustrujące skutki ich rządzenia. Nie dziwimy się więc, że z największym trudem sprowadzono tysiące ofiar ich systemu rządzenia, aby stwierdzeniami swoimi przełamali zakłamanie zbrodniarzy.

Greiser mówi: — Winni Hitler i Himmler. Mówi o tym spokojnie i zdaje mu się, że właśnie takim stwierdzeniem „obrony“ nie wydaje na siebie wyroku.

Właśnie dlatego, że winni Hitler i Himmler — winien jest Greiser. Jego namiestnikowska „złota klatka“, jego samochód i wagon salonowy (z których, podług słów Greisera, nie się nie widzi i jest się jakby między niebem i ziemią) to prezenty Hitlera i Himmlera, przyjęte świadomie i dobrowolnie.

Greiser, jak i wszyscy inni, wierzył w zwycięstwo. Służył zwycięzcom i sam chciał być zwycięzcą. W jednej ze swych „mów obronczych“ powiedział, że nie przekonują go wywody znawcy prawa międzynarodowego prof. Erlicha, czy według prawa można pociągnąć do odpowiedzialności obywatela państwa atakującego, jeśli to państwo wojnę wygra.

I tu jest klucz do zakłamania zbrodniarza. Nie ma „dwóch dusz“ Greisera — jest tylko jedna dusza w dwóch wydaniach: zwycięzcy i zwyciężonego.

Pokonaniem pychy zbrodniarzy nie będzie korowód świadków i pokrzywdzonych. Może być tylko załamanie ich wiary w możliwość jakiegось niemieckiego zwycięstwa. Tylko wtedy pozostanie im jedna dusza — dusza zwyciężonego.

I dopiero wówczas jedna opowieść dziecka o gehennie wywożonych dzieci wystarczy całkowicie, aby skazujący wyrok sądu został przez Greisera przyjęty słowem: — spawiedliwie.

Poznań, 25 czerwiec

Proces Artura Greisera, który właśnie toczy się w głównej auli Uniwersytetu Wrocławskiego, jest niewątpliwie dla Polski wydarzeniem niezwykle. Wydarzeniem, które przejdzie do historii naszego narodu i wespół z szeregiem następnych rozpraw tego rodzaju, zajmie w niej miejsce poczesne, tuż obok wydarzeń tej wagi, co Psie Pole, Grunwald, Hołd Pruski, Traktat wewalsko-bydgoski i akty poszczególnych rozbiorów.

Doniosłość tego procesu wypływa z dwóch względów.

Jeden — to względ historyczno-polityczny. Pierwszy to raz bowiem w całej historii narodów polskiego i niemieckiego, przed polskim sądem odpowiada niemiecki mąż stanu. I to odpowiada nie tylko za gigantyczne zbrodnie popolite — zbrodnie jakiegось monstrualnego morderstwa, ale przede wszystkim (co z naciskiem podkreśla prokuratura) za czyn polityczny, a mianowicie przyczynienie się do pogwałcenia międzynarodowego statusu Gdańska oraz współdziałanie w wojnie agresywnej Niemiec przeciw Polsce. Wojnie wywołanej wbrew prawu międzynarodowemu, gdyż Polska i Niemcy związane były dziesięcioletnim paktem o nieagresji, zaś konstrukcja klauzuli paktu była tego rodzaju, iż nie przewidywała możliwości zerwania go nawet w wypadku zmiany okoliczności zewnętrznych, politycznych, jakie towarzyszyły jego zawieraniu. Za tego rodzaju przestępstwa jeszcze nigdy żaden Niemiec przed sądem polskim nie odpowiadał. Tak zresztą, jak w ogóle dzieje świata nie znały, aż po dzień Norymbergi, odpowiedzialności głów państwa za akty o typie politycznym.

Procesy, których serię właśnie rozpoczął proces Greisera, mogą mieć tak doniosłą historyczną rolę, iż konsekwencję ich na rozwój wzajemnych stosunków między tymi dwoma narodami — nie sposób nawet przewidzieć.

Doniosłość jednak i tego procesu, i — rzecz oczywista wszystkich procesów tak zwanych „norymberskich“ — polega jednak na czymś ważniejszym, niż historia i polityka dwóch narodów.

Początki wznowionej po wojnie działalności Teatru Śląskiego im. St. Wyspiańskiego w Katowicach, to krótki, bo zaledwie od 2.IV. do końca sierpnia 1945 roku trwający sezon pod dyrekcją Williama Horzycy i Karola Adwentowicza. Trudno mi, znającemu zaledwie dwie ostatnie pozycje repertuaru tego sezonu, siłować się na jakakolwiek syntezę. Uczynił to już zresztą przedmowa, trafił (sądząc) dr. August Grodzicki w 21gim numerze „Twórczości“ („Na Śląsku już coś kiełkuje“), która, jak na pismo poważne przystało, większą winna zwrócić uwagę na korektę (Bronisław a nie Wł. Dąbrowski; „Lompa“ — Gołby, a nie Lomys).

Dlatego też, z kronikarskich upodobań jedynie, poprzestane na przypomnieniu repertuaru tego sezonu: Fredro — „Zemsta“, Zapolska — „Moralność pani Dulskiej“, Williams — „Zieleni się zboże“, Gołba — „Lompa“, Hemar — „Jaś u raju bram“ i pożegnalna rewia: „Rozstanie na wesoło“.

Po tym rozstaniu, opuścili Katowice obaj dyrektorzy i zespół. Do stolicy Śląska zjechał poprzedzony szeroką famą lwowskich sukcesów Teatr Polski ze Lwowa pod dyr. Br. Dąbrowskiego. Jako pamiatka po ubiegłym sezonie, zostało kilka tylko osób, między innymi para ulubieńców publiczności: Zofia Węclawówna i Tadeusz Kondrat.

Za kulisami zawrzało życiem. Gorączka przygotowań. 6 października 1945... Ale przed szóstym dniem miesiąca zazwyczaj jest pierwszy. Właśnie 1-go X.45. na 8-ej z rządu „Środzie Instytutu“ dyr. Dąbrowski wygłosił mowę tronową, w której zapoznał słuchaczy z zamierzeniami swymi na przyszłość.

Było to bardzo krzepiace i budujące. Zawsze dobrze jest wiedzieć, czego się mamy spodziewać. Obiecano nam bądź co bądź piękny repertuar, wspomniano coś o masach i wiele, wiele innych równie miłych, jak ciekawych rzeczy.

Czy?...

Nie, na to pytanie jeszcze zawczasem. Po pierwszym październiku kolej nie na drugą połowę ma następnego roku. Przez osiem miesięcy trudno przeskoczyć podem jednego rozbiegu.

6.X.45. inauguracja sezonu 45/46. W wielkiej ciszy oczekiwania w górę wznosi się kurtyna, a ze sceny padają pierwsze słowa:

„Cóż tam panie, w polityce?“

Chinyki trzymają się mocno? W porównaniu z lubelskim (1944) spektaklem „Wesela“ (Teatr Wojska Polskiego), okazały do oklasków dla katowic-

Kazimierz Koźniewski

Ku sprawiedliwości**(Na marginesie****„crimen laesae humanitatis“ — zbrodniami obrażającymi ludzkość.**

Chodzi o to, iż w tych czasach, czasach tak przełomowych dla świata na odcinku naukowym, gospodarczym i społecznym — sprawiedliwość przechodzi zmiany, które nader dokładnie określają moralne zarysy nowej rzeczywistości światowej.

Do tej pory naród i jego czynnik wykonawczy państwa były najwyższymi źródłami prawa publicznego, a więc i moralności społecznej. Wobec istnienia zasady, iż przestępstwem podlegającym karze jest tylko taka zbrodnia, która określona została w obowiązującym kodeksie karnym, a kodeksy karne układane były przez każde państwo oddzielnie dla siebie — (abstrahując tutaj od wzajemnych podobieństw, wpływów i analogii między kodeksami, jako rezultat już to jednako- wych wydarzeń historyczno-politycznych, już to jedynolitego podłoża kulturowego) — więc istniały tylko przestępstwa skierowane przeciw własnemu państwu, czy dawniej własnemu monarsze. Było to owo „crimen laesae maiestatis“.

Zasady te całkowicie zgodne były z zasadą suwerenności państwowej, gdyż państwo i tylko państwo było tutaj najwyższym czynnikiem prawodawczym. W tym czasie też przyjęto zasadę, że urzędnik czy wojskowy wykonujący rozkazy swych przełożonych, nawet gdy sprzeczne są one z jakimiś przepisami międzynarodowymi, nie podlega karze, gdyż działał w dobrej wierze, działał na mocy swojej przysięgi wojskowej czy urzędniczej. Ukarany winien być jego szef — ten jednak jako głowa państwa, według dotychczas obowiązujących zasad, był nie karalny. Reguła, iż rozkaz gwarantuje bezkarność, działała nawet nie tylko na zewnątrz poszczególnych państw, ale i na wewnątrz, gdzie wiele przestępstw urzędnika kryła jego władza.

Tymczasem w mowie inauguracyjnej proces Greisera prokurator Sawicki postawił tezę, iż obecnie obok „crimen laesae maiestatis“ pojawiły się nowe gatunki przestępstw, nazywając je ogólnie

„crimen laesae humanitatis“ — zbrodniami obrażającymi ludzkość. Nie rząd, nie monarchię, nie państwo — ale ludzkość całą. Jest to stwierdzenie, które ma w sobie brzemienne ciężar aktu rewolucyjnego.

Cóż to są za zbrodnie, które zwracają się nie tylko (lub też wcale nie) przeciw państwu, lecz przeciw całej ludzkości?

Do nich w pierwszym rzędzie zalicza się nowa zupełnie zbrodnia, której dotychczasowe kodeksy nie określały jako przestępstwo, gdyż poprostu ludzie nie znali tego rodzaju przestępstwa, nie wyobrażali sobie, iż może ono zaistnieć — a mianowicie: zbrodnia ludobójstwa. Okazało się, że można zamordować cały naród, lub że można mieć intencję zamordowania całego narodu lub też paru narodów. Co dzisiaj, po doświadczeniach drugiej wojny światowej wydaje się nam możliwe i zupełnie realne, to przed nią, w czasach gdy układano kodeksy obowiązujące po dziś dzień, było uważane, jeśli nawet w ogóle brano je pod uwagę, za majak chorej wyobraźni. Majaki okazały się faktami, wobec których należy zastanowić się, czy zrealizowane częściowo próby wymordowania całego narodu należy uznać za podniesione do wielokrotnej potęgi zabójstwo jednego człowieka, czy też będziemy mieli do czynienia z jakimś zupełnie nowym gatunkiem zbrodni? Odpowiedz na to pytanie według intencji prokuratury polskiej ma dać trybunał w Auli Uniwersytetu Poznańskiego.

W dalszym ciągu do tych „crimen laesae humanitatis“ należy zaliczyć przestępstwa tego rodzaju, jak bezprawne i jednostronne zerwanie umowy międzynarodowej połączone do tego z agresją wojenną. Wysiedlania i przesiedlenia ludności jakiegось terytorium nie na mocy dwustronnej, lecz tylko jednostronnej decyzji silniejszej ze stron zainteresowanych. Kulturalne i gospodarcze dewastowanie podbitego narodu, mające na celu zniszczenie go zupełne, przez deprowa-

Melpomena

Brzozy: „Stary dzwon“. Recenzenci ścisają dłonie autorowi, a po cichu między sobą: słabe, kolego! prawda, jakie słabe? Nie mają racji hipokryci. „Stary dzwon“ nie jest objawieniem, ale po poprawkach, może być dobrą pozycją repertuarową.

W dwa tygodnie później bajka (podobno „disneyowska“) Krzemińskiego „Jak w bajce“. Następuje dłuższa przerwa. Więcej niż miesiąc. Publiczność jednak czeka cierpliwie. Wiemy na co. Szekspir. Szekspir wraca do Polski przez Katowice — tak jakos powiedział gość z samego Krakowa.

6-go lutego „Wieczór Trzech Króli“. Butza oklasków. (Słusznie!). Wywołanie dyr. Dąbrowskiego. (Słusznie!). Później westchnienia: no, wreszcie mamy teatr! Dwa tygodnie tym się żyje. Trzy. Cztery. Lekkie zdenerwowanie. Jako knebel dla malkontentów: wkrótce otwarcie nowego teatru. Pięć tygodni.. sześć... Po dwu miesiącach oczekiwania... przeróbka Armata i Marchanda „Kra-

kich wykonawców. Po premierze, przez kilka dni szum: aktualne, czy nieaktualne? Może tak, może nie, ale wykonanie niemal dobre. Na wszelkie dyskusje czasu niewiele. Zaledwie 11 dni. Już 17-go bowiem nowa premiera. Montgomery — „Cały dzień bez kłamstwa“. Publiczność bawi się dobrze, recenzenci nieco „grymaszą“, a czas płynie. 7.XI. Kornijczuk — „Misja Mr. Perkinsa do kraju bolszewików“. Sztuka po 10 przedstawieniach w Katowicach i 9 na prowincji schodzi z affisa (słusznie bo słaba, mimo pozorów mało aktualna) na korzyść Maeterlincka: „Burmistrz Stylmondu“. Wobec 50 przedstawień (łącznie z wyjazdowymi) ramoty Montgomery'ego, 25 wieczorów wypełnionych „Burmistrzem“ — to może i mało. Taka już publiczność śląska. Jeden z recenzentów katowickich pisze, iż akcja rozgrywa się we Francji.

15.XII. Zapolska: „Ich czworo“. Realizacja w dużym stylu. 29.XII. „Moja siostra i ja — Hemar-Benatzky (chyba odwrotnie?). Nie ważne: karnawał.

17.I.46. Fauchois — „Ostrożnie, świeżo malowane“. Tekst tuzinkowy — wykonanie dobre. 6.II. Prapremiera sztuk Jana

Zakończono w 25 (43) numerze „Kuźnicy“ z dn. 1 lipca dyskusję w sprawach młodzieży. Dyskusję ciekawą i najbardziej pożyteczną, zupełnie niezależnie od końcowych wniosków, jakie organizatorzy dyskusji zechcieli, lub jeszcze zechcą formować. Żółkiewskiego „O młodzieży bracie — pamflet“ (Nr. 9 „Kuźnicy“) dyskusję otworzył — Żółkiewskiego „Głos w dyskusji o młodzieży“ dyskusję zakończył.

Cała dyskusja miała postawione z góry założenia i jak można się było z jej przebiegu zorientować, jednemu służyła wnioski. Precyzuje go Żółkiewski zupełnie wyraźnie: „Reasumpcja dotychczas wypowiedzianych sądów pozwala stwierdzić, że sytuacja naszej młodzieży wymaga planowej ofensywy ideologicznej“. I jak z dalszej treści wypowiedzi Żółkiewskiego wynika, ofensywa ideologiczna musi mieć ściśle określony kierunek, w którym nie byłoby miejsca na apolityczność, na jakikolwiek eklektyzm, na „rzekomy eklektywizm“.

„Musimy nauczyć młodzież naszą wybierać model przyszłej kultury. Nie da-

Przeгляд

się tego uczynić bez związku szkoły z życiem społecznym i jego żywą problematyką. Nie można więc izolować młodzieży, przeciwnie, trzeba jej dać nowy pogląd na świat. Pogląd na świat, wyrosły z potrzeb naszego kraju i czasu. Pogląd na świat wyznaczony przez tradycję przodujących dziś ruchów ludowych“.

To określenie Żółkiewskiego jest niedwuznaczne. I nie zastąpi go nic. Nawet artykuł Kazimierza Koźniewskiego, zamieszczony w tym samym numerze „Kuźnicy“. Zamieszczenie tego artykułu może stwarzać pozory eklektyzmu, względnie pozory obiektywnego i wielkodusznego dopuszczenia do głosu dyakutanta z zewnątrz. Pozory — piszę do świadomie i podkreślam. W reasumpcji Żółkiewskiego i w postawionych przez niego wnioskach nie uwzględniono pozytywnie ani jednej tezy Koźniewskiego, nie przyjęto nawet do wiadomości w sensie dyskusyjnym problemów przez niego zarysowa-

uniwersalnej

procesu Greisera)

dzenie do stanu pewnej specyficznej formy „narodowego marazmu“, w którym występuje zjawisko samobójstwa narodowego, objawiającego się już to przez gwałtowny, systematyczny i konsekwentny spadek urodzin czy też przez wynarodowienie się.

O te wszystkie zbrodnie prokuratura polska oskarża Trzecią Rzeszę, jej organizację kierowniczą NSDAP, w osobie jednego z realizatorów tych przestępstw — Artura Greisera.

Wszystkie te zbrodnie — nie są zbrodniami przeciw prawu obowiązującemu w Trzeciej Rzeszy. Ba! przeciw jakiemukolwiek prawu obowiązującemu dziś w jakimkolwiek państwie globu. Dziś jeszcze są to zbrodnie nie objęte żadnym kodeksem karnym (prawo międzynarodowe nie ma swego kodeksu karnego!) ale równocześnie jest powszechnym przeświadczeniem, iż uczynki tego rodzaju stoją w rażącej sprzeczności z elementarnym poczuciem jakiejś wszechludzkiej sprawiedliwości. Właśnie nie narodowej — nie nacjonalistycznej, ale wszechludzkiej, ale nad-narodowej. Będą to właśnie owe „obrazy ludzkości“ całej.

W razie przyjęcia tej reguły „*crimen laesae humanitatis*“ — to konsekwentnie pojawia się nowa zasada prawna: **rozkaz nie stwarza bezkarności**. Urzędnik czy wojskowy nie może więc zasłaniać się przyzwoleniem czy nakazem swego przełożonego.

W tej chwili, póki jeszcze, jak zwykle w czasach przemian rewolucyjnych, literatura prawa nie nadażyła za zmianami i ewolucją ducha prawa — zasady wyższej wyszczególnione stwarzają jeszcze możliwości dużych nadużyć. To właśnie jest główną przyczyną oporów, jakie stawiają w tym względzie jednostki, a nawet pewne koła, z pośród społeczeństwa starszego, obdarzone wysokim poczuciem sprawiedliwości, ale równocześnie zbyt już zrutynizowane i konserwatywne, by zrozumieć rodzące się konieczności.

na Śląsku

wiec w zamku“ i słowa dołączone do programu: „Wielka kampania właściwego sezonu jest już właściwie poza nami“...

Czujemy się trochę nieswojo. A gdzie zapowiedziane osiem miesięcy temu „Dziady“, Molier, „Lato w Nohant“?.. Smutno.

Pierwszy rozpęd teatru — to wznowienie sztuk wystawianych uprzednio we Lwowie. Na zarzuty prasy odpowiedź: a cóż to szkodzi? a Adwentowicz nie wywołał z Katowic do Krakowa i „Moralności“ i „Lompy“ i nawet „Jasia u rajuram“? Odpowiedź w zasadzie słusna. Wprowadzić przeszkadza trochę w całkowitym uznaniu tej słuszności fakt, iż nie zastanowiono się nawet nad tym, czy któraś ze sztuk repertuaru lwowskiego nie straciła przypadkiem aktualności (rażący przykład to dowcipy na temat nieżyjącego już Roosevelta u Korniejczuka — nie autor tu winien, bo „Misja“ powstała za życia mądrego Prezydenta U. S. A.), ale ostatecznie nie było o co się kłócić. Czerpanie z zapasu sztuk obniża jednak

prasy

Nie zgadzamy się z Koźniewskim w jego wnioskach separujących młodzież od bezpośredniego jej powiązania z nurtem życia. To oczywiście. Przyznajemy słusność Żółkiewskiego w jego nawoływaniu do ofensywy ideologicznej. To także oczywiście.

Pragniemy jednak podkreślić, że katolicka ofensywa ideologiczna na młodzież polską musi pójść po linii tych stwierdzeń Koźniewskiego, kiedy apeluje, „by instytucje powoływane do wychowania — wychowywały, do kształcenia — kształciły — a nie by obie zmuszały do polityki“.

Katolicka ofensywa ideologiczna na młodzież musi oczywiście uwzględnić w pierwszym rzędzie sprawę nowego poglądu na świat. Poglądu tego nie da się zamknąć w ramach jednego kraju i jednego czasu, co zakreśla Żółkiewski w precyzowaniu marksistowskiej ofensywy ideologicznej. Chce zbyt mało. Katolicka ofensywa pragnie więc: przygotowania

Jeżeli jeszcze, dla pełni obrazu, dodamy, iż przez Narody Zjednoczone podjęte zostały prace, w których uczestniczą i polscy przedstawiciele — zmierzające ku utworzeniu jednolitego dla całej kuli ziemskiej kodeksu karnego — to jasno uprzytomnimy sobie generalną linię kierunkową po jakiej rozwija się poczucie prawne społeczeństw dzisiejszych.

Gdy zwyciężą pewne zasady i gdy otrzymają one swoją oprawę prawną, być może nawet jednolitą dla całej ziemi — to konsekwencje tego dla całego życia społecznego będą ogromne. Zasada taka jak „*crimen laesae humanitatis*“ i łącząca się z nią „rozkaz nie stwarza bezkarności“ są w pierwszym rzędzie zasadami bijącymi w suwerenność absolutną państwa jako takiego. Państwo przestanie być wtedy najwyższym źródłem i fundamentem prawa i użytkowej etyki. Na miejsce norm podawanych przez rządy, poszczególnych narodów — zostaną zastosowane (są już stosowane! Jesteśmy w pełnym toku zmian, o których mówię) normy wytworzone przez jakieś ponadnarodowe poczucie prawa i sprawiedliwości, wspólne dla ludności całego globu. Państwo przestaje być już najwyższym prawodawcą. Jego piedestał zajmuje ludzkość, jeszcze mało organizacyjnie określona, ale już krystalizująca się pod nieudolną jeszcze formą ONZ.

Idąc dalej należy stwierdzić, iż państwo, które swemu obywatelowi nie potrafi stworzyć ochrony przed konsekwencjami czynów popełnianych w służbie tego państwa — z jednej strony traci ważny instrument oddziaływający na obywatela i wiążący go z państwem, z drugiej strony — wręcz pozbawione zostaje możliwości prowadzenia wojen. Przed tym (do drugiej wojny światowej) reguła „rozkaz stwarza bezkarności“ dawała poczucie bezpieczeństwa obywatelom i żołnierzom państw nawet tych, które przegrały wojnę. Teraz bezpieczeństwo to

słuszność wypowiedzi, że teatr pracuje nad siłą, dając co dwa tygodnie premierę. Spadek tempa, rażąca zwłaszcza dwumiesięczną przerwą między „Wieczorem Trzech Króli“, a „Krawcem w zamku“ — nastraja ponuro, a jeśli się usłyszy: no, bo Szekspir... trzeba odpocząć — to teraz, mimo aplauzu dla wysiłku włożonego w realizację „Wieczoru“, musi powstać drugie pytanie: czy opłaci się skórka za wyprawę?

Nie o czas jednak chodzi. Polityka repertuarowa teatru śląskiego musi budzić zastrzeżenia. Sezon przyniósł nam, — jak stwierdza dr. Koller — takie pozycje, jak „Wesele“, „Wieczer Trzech Króli“, „Stary dzwonek“. Zgadza.

Naliczyliśmy 5 pozycji. Premier było 11. O pozostałych autor artykułu w programie teatralnym nie wspomina. Słusznie. Bo 50% to jednak były tylko plewy.

„Teatr musi dbać o sztukę i o kasę“ — powiada w Instytucie Śląskim Krzemieński. I dzięki tej polityce w przepłatanym pozycji repertuarowych, w kilka minut później padają słowa: „teatr nasz idzie (?) bardzo dobrze“.

ludzi do takiego poziomu moralnego, społecznego i kulturalnego, który by nie wiał ich życia z produkującym dzisiaj czy jutro ruchem rządzącym. Potrzebni są ludzie zdrowi fizycznie, psychicznie i moralnie. Przy takim poziomie przynależność partyjna obojętna. Przy takim poziomie kwestia pałek czy korporackiego pięknotuchostwa należeć będzie do niestawnej przeszłości.

W ścisłym, teoretycznym rozumowaniu Żółkiewski ma rację, gdy myśli, że jedyną realną formą przeprowadzenia ofensywy ideologicznej jest sztandar i jego kolor. Tym samym ułatwia sobie i zagadnienie i pracę. Wartość jednak dla samej skuteczności pracy w znaczeniu niedoświadczonym pokusił się o znalezienie dróg trudniejszych, lecz skuteczniejszych. O konkretne pokazanie młodzieży polskiego modelu przyszłej kultury, o czym tak wyraźnie pisze Żółkiewski, nie pokazując jednak praw nadrzędnych, żywych dziś, jutro i za lat sto, podług których model można uformować.

Sądźmy zatem, że pokazanie tego „modelu“ jest ważniejsze od precyzowania metod jego oglądania

w. b

zmniejszyło się o całe 50%, to jest (uwzględniając jeszcze ciągle niedoskonałość naszej ludzkości) zagwarantowane ono może być tylko w wypadku wygrania wojny. Teoretycznie jest to właśnie tylko 50%.

Zainteresowani o to przez niżej podanego na konferencji prasowej, prokurator Kurowski, naczelny oskarżyciel w poznańskim procesie — nie tylko zgodził się na opisane konsekwencje tych zasad, ale uznał, że jeżeli choć w pewnym stopniu przyczyniły by się one do ograniczenia wojen, to już wartoby je realizować.

Analogicznie, jak to ma miejsce w dziedzinie gospodarczej i politycznej — powstaje teraz jakaś nowa sprawiedliwość, która wyrasta ponad państwo, która nie uznaje granic państw czy narodów. Sprawiedliwość, która chce być, i prawdopodobnie będzie, silniejsza od reguł dyktowanych prawami jednych narodów. Jest to jakaś sprawiedliwość immanentna. Sprawiedliwość uniwersalna. Jest wysoce prawdopodobnym, iż w swym ostatecznym przyszłym sformułowaniu prawnym, będzie ona niedaleka chrześcijańskiemu Dekalogowi. I nie jest to bynajmniej przypadek, iż właśnie Jerzy Zagórski i właśnie w „Tygodniku Powszechnym“ przed kwartałem (28 kwietnia) umieścił w swym znakomitym artykule „Sens Norymbergi“ zdania, które warto tutaj, na zakończenie rozważań przytoczyć:

„...powstają prawa dostojniejsze niż służba własnej ojczyźnie fałszywie pojęta... Jest to oczywisty nawrót do starej znać chrześcijańskiej koncepcji moralnego prawa natury, powszechnego to znaczy obejmującego wszystkie narody i absolutnego, to znaczy takiego, od którego nie ma ucieczki“.

Jest sprawą ciekawą, iż tego rodzaju tendencje esprytualistyczne — gdyż one niewątpliwie decydują o przyjęciu zasady „*crimen laesae maiestatis*“ — powstają właśnie w epoce, która cechuje się pozornym zwycięstwem materializmu i racjonalizmu.

Warto, dla orientacji, podać, że katolicka scena otrzymała ca 200.000 zł: subwencji miesięcznie netto (4 z 350.000 przyznanych — 160.000 podatek) i że ceny lepszych miejsc przekraczają 100 zł. Frekwencja duża — przeciętnie można liczyć 400 osób na spektakl.

Przy badaniu tych cyfr zakorkzenia się podjęcie przesady w trosce o kasę.

Inny argument: „Cały dzień bez kłamstwa“ miał około 50 przedstawień, a „Ich czworo“ — 20.

Wniosek: publiczność woli błazeństwa. Niestety, tak jest. Prawda. Ale to nie argument tam, gdzie się pamięta i mówi o szczytnych celach teatru.

Słusznie chlubi się dyrekcja, że, oprócz spektakli katowickich, zespół wyjeżdża w teren, że się wyjazdowa obejmuje 13 miejscowości bardzo różnego typu, że gra nawet w takich warunkach, jak barak w Dworach koło Oświęcimia, do którego publiczność wjeżdża (wyraźnie: wjeżdża nie dojeżdża) na motocyklach, rowerach.

Pomyślmy jednak nad tym, z czym się jedzie do Dworów, czy Bielszowice?

Publiczność ma w rękę bardzo dyktatorski atut — pieniądze. Prawda smutna, ale rzeczywistość. Cóż poradzić jednak, kiedy, dawno już, uparci medrecy stwierdzili, że teatr ma wychowywać. Teatr ma zmieniać złą publiczność na dobrą, a nie podporządkowywać się kiepskim, powojennym guściekom.

Na wystawianie „Dni bez kłamstwa“, „Moich sióstr“ i innych „Krawców“ dla pewnego typu publiczności, mogła sobie pozwolić Warszawa przedwojenna, dysponująca kilkoma scenami. Jedyna scena Katowic nie powinna się liczyć ze zgrają szabrowników. „O teatrze w Katowicach mówi się w Polsce“ — z podniesioną głową powiada przedstawiciel tego teatru.

Ciche życzenie: daj Boże, aby mówiono nawet zagranicą, ale przede wszystkim, by można było mówić tylko dobrze!

Dyrektor Dąbrowski ma prowadzić Teatr Śląski przez następne trzy lata. Do brzo byłoby w związku z tą wiadomością ustalić pewne wytyczne dla pracy 3 lata — to szmat czasu. Przez trzy lata można widzów rozmówić w teatrze i można ich do kultu Melpomeny zdecydowanie zmieścić.

Byłoby dużą niesprawiedliwością pominięcie w tym omówieniu zespołu Teatru Śląskiego. Największą pochwałą będzie stwierdzenie, iż w każdym spektaklu widać dużą pracę aktorów. Jeśli zle sztuki stają się dla widowni żońskie, to wyłącznie w tym zasługa wykonawców. Na imienne wyróżnienie znajdzie się jeszcze okazja.

Mieczysław Markowski

W świecie...

HISPANIA GEN. FRANCO

DRZUCENIE przez Radę Bezpieczeństwa ONZ w Moskwie delegata polskiego o wezwanie przez Radę Narodów Zjednoczonych do zerwania stosunków dyplomatycznych z rządem gen. Franco — oznacza rezygnację z nacisku interwencyjnego na wewnętrzne stosunki hiszpańskie.

Siedem głosów odrzucających wnioski (za wnioskiem głosowali delegaci Polski, Związku Radzieckiego, Francji i Meksyku) pozostawia narodowi hiszpańskiemu możliwość samodzielnie usunięcia reżimu gen. Franco. Następny wniosek ambasadora Laórego, aby utrzymać sprawę hiszpańską na porządku obrad i powziąć ostateczną decyzję nie później jak 1 września znajdzie poparcie delegata brytyjskiego Cadogana z tym zasadniczym zastrzeżeniem, że decyzję zalecającą zerwanie stosunków dyplomatycznych z rządem gen. Franco wyda nie Rada Bezpieczeństwa, ale ogólne zgromadzenie ONZ.

DOŚWIADCZENIA ATOMOWE

PROBNE wybuchy bomby atomowej w atolu Bikini na Pacyfiku mają na celu uzupełnienie tych doświadczeń, których nie można było właściwie ocenić i zaobserwować podczas wybuchu dwóch bomb w Japonii. Trzy próbne zrzuć — nad morzem, na powierzchni morza i pod wodą — działanie wybuchów na wraki okrętowe, na ludzkie manekiny w maskach gazowych, z bronią i zapasami żywności, oraz na pewną ilość żywych istot (szczury, kozy i świni) — mają służyć doświadczeniom o typie wyraźnie wojskowym.

Zaciekawienie tymi próbami sprówdza się w tej chwili do spraw ściśle teoretycznych. Samo podłożenie tych doświadczeń kryje jednak wyraźną groźbę wojenną. I może właśnie dlatego świat nie potrafi obserwować doświadczeń bez niepokojów. Podnoszą się głosy, tak w Nowym jak w Starym Świecie, za całkowitym zrezygnowaniem z utrzymywania świata w napięciu grozy atomowej. Propozycji Bernarda Barucha przeciwstawiła się propozycja Związku Radzieckiego, przedłożona komisji kontroli energii atomowej. Różnice między planem amerykańskim i propozycjami radzieckimi sprowadzają się w zasadzie do tego, że, jak ocenia sprawę publicysta „Prawdy“ Izakow, plan amerykański jest produktem „diplomacji atomowej“, gdy propozycje radzieckie są wyrazem stałej radzieckiej polityki pokoju i obrony ogólnego bezpieczeństwa.

Dla obserwatorów doświadczeń na atolu Bikini jedno jest jasne: tylko wówczas o energii atomowej można zacząć myśleć bez lęku, jeśli powstanie pewność (której w tej chwili nie ma, że z prób o charakterze wojskowym zostaną wyciągnięte pokójowe wnioski. Oby można było jaknajszybciej zorientować się, w jakim czasie energia atomowa zacznie budować a nie burzyć.

PARYSKIE KOMPROMISY

WYNIKI rozmów czterech ministrów spraw zagranicznych w Paryżu nie dają nadziei na możliwość dojścia do zasadniczego porozumienia w najważniejszych sprawach, przygotowujących Kongres Pokojowy. Sprawa opracowania podstaw do zawarcia traktatu pokojowego z Włochami jest o tyle na dobrej drodze, że kwestia Triestu i Weneckiej Giulia może być kompromisowo uzgodniona przez czterech partnerów. Okazuje się jednak, że nawet kompromis Wielkiej Czwórki nie rozwiązuje całkowicie zagadnienia. Włochy na przykład zapowiedziały w memołale 22 czerwca, że nie podpiszą nieoczekiwano do przyjęcia dla nich pokoju. Narazie więc 10 amerykańskich i brytyjskich okrętów wojennych zakotwiczone w Zatoce Weneckiej. A kompromis, wyrażający się w projekcie umiędzynarodowienia Triestu, nie budzi entuzjazmu ani w Jugosławii, ani we Włoszech.

Szeroki horyzont

CZARNA MAGIA.

Nie będzie to opowiadanie o rozmaitych hokus-pokus, w rodzaju wyciągania zajęczków z cylindra, czy innych sztuczek w tym guście.

Mowa będzie dla odmiany o czarnej giełdzie — tym nieodłącznym, smutnym atrybutcie dzisiejszej rzeczywistości europejskiej. Jak i inne towary, tak i pieniądze są dziś przedmiotem handlu, który może osobnikowi pozbawionemu skrupułów, przynieść w rychłym czasie bardzo pokażne zyski. Londyński korespondent wielkiego amerykańskiego tygodnika „Time” donosi, iż cała zachodnia Europa jest objęta siecią międzynarodowej organizacji waluciarzy, którzy wykorzystują istniejące ograniczenia i powojenne warunki do rozmaitych ciemnych kombinacji na olbrzymią skalę.

Jak pracuje taka organizacja przestępcza? Przede wszystkim opiera się ona na wzajemnym zaufaniu do siebie wszystkich „uczestników”, co z uwagi na charakter „przedsiębiorstwa” jest koniecznym warunkiem do jego istnienia. Niezbadane są dotąd kanały, którymi płynie pieniądź między krajami, mimo wszelkich kontroli i rygorów.

A jak korzystają z usług tej mafii jej „klienci”? Oto opis takiej transakcji. Interesant dokonał w tym wypadku pięknej i — jak to sami zobaczymy — taniej, podróży po zachodniej Europie. A było to tak: pan ów zgłosił się pewnego dnia do londyńskiego agenta tej spółki kombinatorów, a ten zaopatrzył go należycie w adresy „oddziałów” na kontynencie, a także zapoznał z umownymi „hasłami”, które mają w tym wypadku zastępować czeki podróżnicze, przyjęte w normalnych warunkach.

Tak zaopatrzony, podróżny ów opuścił samolotem Wielką Brytanię, lecąc do Genewy. Ze sobą zabrał najzupełniej legalnie najwyższą, dozwoloną do zabrania sumę — siedemdziesiąt pięć funtów szterlingów. W Genewie dokonał nówęj, również całkowicie legalnej transakcji, zamieniając całą tę sumę na franki szwajcarskie po urzędowym kursie, to znaczy po siedemnaście franków szwajcarskich za jeden funt szterling. Część tych pieniędzy wydał na miejscu, kupując sobie jedwabną koszulę, srebrną zapalniczkę i bilet do Francji. Przed wyjazdem do tego kraju, wręczył pozostałe mu jeszcze tysiąc dwieście franków szwajcarskich genewskiemu „przedstawicielowi” całej spółki, którego adres dostał był uprzednio w Londynie. Było to tym bardziej konieczne, że Francja nie zezwala na wwóz sumy większej nad tysiąc francuskich franków.

We Francji nasz magik zgłosił się znowu do lokalnego przedstawiciela całej mafii, który po usłyszeniu umownego hasła wypłacił mu stowadzieścia tysięcy franków francuskich, jako „równoważność” tysiąca dwustu franków szwajcarskich, które pozostawił był w Szwajcarii. Suma ta, wymieniona po urzędowym kursie wyniosła by tylko trzydzieści sześć tysięcy franków francuskich, tak, że zyski podróżnego przekroczyły już do tego momentu osiemdziesiąt cztery tysiące.

Do Paryża pojechał dalej kombinator wagonem sypialnym, a w Paryżu wynajął sobie na cały dzień samochód, zjadł śniadanie i obiad podlewany obficie szampanem, oraz kupił sobie bilet samolotowy do Londynu. Bilet ten kosztował trzy tysiące franków, zaś pozostałe wydatki we Francji wyniosły pięć tysięcy. Całą pozostałość wpłacił w „oddziale” paryskim przedsiębiorstwa, który — jak podaje korespondent — mieści się nieopodal Opery. Wyniosła ona stowadzieście tysięcy franków.

I znowu, po zakończeniu krótkiego week endu, podróżny powrócił do Londynu, gdzie zgłosił się do pierwszego agenta, który zaopatrzył go przed wyjaz-

dem we wszystkie adresy. Ten wypłacił mu jego należność za pozostawione w Paryżu franki, oczywiście nie po urzędowym kursie, ale według notowań czarnej

giełdy. Wypłata ta wyniosła 160 funtów szterlingów. Innymi słowy, po opłaceniu całej podróży i wielu wydatkach podróżny zainkasował jeszcze 85 funtów czystego zarobku.

Był to więc rzeczywiście tani week end...

List z Krakowa

Zauważyłeś pewnie, kochany Wilku, że pod fotografiami różnych mniej lub więcej ośniewających gwiazd filmowych w amerykańskich tygodnikach widnieje napis: „A pin—up girl”. Myślałem sobie co ma szpilka (pin) do dziewczęcia, aż wreszcie dręcząc tajemnicę wyjaśnił mi pewien podróżnik. Okazało się, że wożaki z za oceanu mają zwyczaj „pszyszpilania” takich fotografii w swoich samochodach, kajutach, kantynach. Jednym słowem, pin—up girl możnaby przetłumaczyć zreszcie: „pszyszpilalna panna”. Przypomniało mi się to wszystko — drogą odległych skojarzeń (via szpilka...) — kiedy czytałem, rycząc ze śmiechu, Twój ostatni List z Warszawy: o groźnych kwestorkach warszawskich ulic, o paniach „pszyszpilających”...

Ulice krakowskie pod tym względem nie różnią się od warszawskich. Kwista kwitnie. I to zawsze niemal na cele godne grosza. Ale technika połowu wydaje mi się istotnie trochę... anachroniczna. Niezmienne elementy ludzkiej natury możnaby przeciw wykorzystać bardziej postępowo. Wyobraź sobie np. głośniki puszczone na cały regulator, które powtarzają w kółko: „jak dasz pięć złotych to się zamknę, jak dasz pięć złotych to się zamknę...” i supą wolniutko na samochodach. Pięciozłotówka uciszałaby je na pół minuty. Pomyśl tylko, co za zniwo!

Niestety — nie ma rady na głośniki, którymi umilają sobie sąsiedzi chwile wieczornego skupienia. Do jedenastej w nocy ulica, na której mieszkam, trzesie się od skocznych melodii i gromko rzucających hasel. Oczywiście człowiek „wychodzi z nerw”.

W ogóle — jak wiadomo — nerwowość jest echo epoki. Ostatnio np. usłyszałem w tramwaju taką typową rozmówkę:

Pan z tezką (lekką podniecony): Przepraszam, która może być mniej więcej godzina?

Pan w okularach (z angielską flegmą): będzie pewno trzy na szóstą.

Pan I (wyraźnie zdenerwowany): Już trzy na siódmą! Do diabła, to późno!...

Pan II (z nagłą złością): Mówię przecież wyraźnie, że trzy na szóstą.

Pan I (kwaśno): Widocznie nie tak znów wyraźnie, kiedy się przesyłałem.

Pan II (sucho, twardo): Nie pana rzecz, jak ja mówię. Mówię tak, jak mi się podoba.

Pan I (ironicznie): O! Taki pan śmiały?

Pan II (ze wstrętem): Właśnie takie warcholstwo jak pańskie gubi naród.

Pan I (groźnie): Panie — licz się pan ze słowami!

Pan II (tonem pojednawczym — odważnym): Panie! Złe panu? Co pan tak krzyczy?

Pan I (sucho, twardo): Nie pana rzecz, jak ja mówię. Mówię tak, jak mi się podoba.

Pan II (ironicznie): O! Taki pan śmiały?

Byłem pewien, że rozwinię się pięknie „da capo al fine” — cóż, kiedy wkroczył kontroler i obaj panowie w zgodnym i ochoczym rytmie posunęli ku wyjściu... Z kontrolą biletów w krakowskich tramwajach jest czasem trochę tak, jak to kiedyś było w jednej z niższych klas; pamiętasz: „Jasiu, zadanie masz?”. „Mom”. „Pokaż?”. „Ni mom...”. Cóż chcesz: bilet kosztuje cztery złote! Licz z przesiadką — i w obie strony: głupich szesnaście złotych! Wprawdzie pracownicy różnych instytucji mają bilety miesięczne. Ale tu jest właśnie całkiem niedemokratyczna pointe'a: owe bilety tracą ważność w niedziele i święta! Zachciewa Ci się w niedzielę podmiejskiego spaceru? Zamiast ruszać od ostatniego przystanku, rżnij, kochany, trzy kilometry na piechotę po mieście. Po drodze mijają Cię tramwaj, który w święta przeznaczono dla ludności niepracującej. Czyli dla tych, którym ówych 16 zł. nie zrobi różnicy. „Jest coś na tym, jak mawiał Gabrys, ale co?” Ty, który mieszkasz w Warszawie, zainterweniuj w tej sprawie u ministra od tramwajów tudzież demokratycznych czasów. Czego i Tobie (niby tych czasów) z całego serca życzę!

J. W. W.

Teatr Cynobrowych Snów

Nazwa niezbyt fortunna. Można sobie język wyłamać przy tych zbiegach spółgłosek: trc i chsn. Ale przecież nie nazwa jest tu najważniejsza, lecz poziom teatryku, który pod tym mianem został otwarty przy ulicy Wiejskiej 11. A poziom jest naprawdę wysoki. Teatrzyk jest owocem wielu nieprzespanych nocy, wielu zabiegów i pracy, jest dziełem uczniów Szkoły Sztuk Pięknych. Pomimo braku funduszy i sprzysięgania się licznych przeciwności, teatrzyk został otwarty. Wystawiana jest fantastyczna historia o doktorze Dollittle i jego zwierzętach, znana i lubiana przez dzieci, w przeróbce scenicznej jednego ze współpracowników teatru, który jest zarazem kompozytorem piosenek i ilustracji muzycznej.

Sama ilustracja muzyczna jest w dobrym stylu; rażą może tylko niekiedy piosenki nie pasujące swoim charakterem do całości i niedostępne dla apercepcji młodocianych odbiorców. Ale zarzuty powyższe gasną w porównaniu z pochwałami, które się Teatrowi Cynobrowych Snów należą. Trzeba gorąco przyklasnąć wielu innowacjom wprowadzonym m. in. do strony malarskiej i umiejętności przystosowania widowiska do dziecięcej zdolności odbiorczej (z małymi wyjątkami, wymykającymi się jej), przy jednoczesnym nieobniżaniu poziomu artystycznego. A tylko na tej drodze stworzyć można popularną, w dobrym znaczeniu tego słowa, sztukę, a nie szmire.

Teatr kukielkowy w Polsce ma swoją długą, kilkunastoletnią historię. Przed wojną najbardziej znanym był teatrzyk Jana Wesołowskiego „Baj”. Oprócz niego istniało wiele innych, rozsianych po całym kraju. W 3-cim numerze „Twórczości” z r. b. Jan Sztudyinger podał krótki zarys kukielkarstwa w Polsce przed wojną. Niejednokrotnie osiągnano bardzo dobre i ciekawe wyniki. Dziś najbardziej popularny jest teatr Jaromy, który spotykał się z aplauzem dzieci i dorosłych i cieszył się w Krakowie dużym powodzeniem.

Teatr Cynobrowych Snów jest na wysokim artystycznym poziomie, a pewne niedociągnięcia natury technicznej dadzą się z czasem ulecić, po przezwyciężeniu trudności, związanych z debiutem teatru.

Dużo wysiłku i poświęcenia, dużo zdolności twórców i wykonawców, oraz eksperymentatorska śmiałość w wprowadzaniu nowych, nieznanych dotąd w kukielkarstwie, chwytów — to wszystko razem złożyło się na wyniki, które naprawdę warto zobaczyć.

J. T.



LAJKONIK Stwórca i Ewa

— Przecz zerwałaś owoc zakazany?
Rzecz do Ewy Pan zagniewany.

— Jam nie wiedziała,
Jam myślała.
Jam naopak zrozumiała.

Żeś naopak zrozumiała,
Będiesz odtąd po wsze czasy
Wszystko wždy naopak brała.
Rzeką „czarne”, a ty „białe”,
Rzeką „duże”, a ty „małe”.
Kędy stanie twój stopa —
Wszystko będzie ci naopak.

Na to Ewa miasto płakać z żal
Klaskać w dłonie
I radośnie płaść jej,
Bo naopak rzecz pojęła.

Eugeniusz Gołębowski



M. Wionczek szuka śladów Chestertona

Redaguje: Kolegium redakcyjne, Redaktor naczelny: Witold Bieńkowski. Kierownik Oddziału Krakowskiego: Wojciech Kętrzyński. Wydawca: Kolegium redakcyjne. Adres redakcji i administracji: Marszałkowska 81 m. 17. Konto P. K. O. — Nr 1-727. Redaktor przyjmuje codziennie od godziny 11 do 12. Adres Oddziału Krakowskiego: Kurkowa 5 m. 4. Redaktor przyjmuje w poniedziałki, środy i piątki od godziny 13 do 14. Prenumerata miesięczna 30 złotych. Kwartalna 85 złotych.